

# bajki zielone



Marta Riess  
Arletta Szewczyk



O dziecióle  
i rozstaniach



To miał być bardzo spokojny i leniwy dzień. Ciepła sierpniowa niedziela. Nie miałem nic ważnego do zrobienia, więc mogłem w całości poświęcić się odpoczywaniu. Cały tydzień stukałem w drzewa jak przystało na porządnego Dzięcioła, a dziś miałem tylko wylegiwać się w cieniu drzew i spotkać się z moim najlepszym przyjacielem. Tak, jestem szczęściarzem, bo mam najlepszego przyjaciela na świecie. Mieszka tu, niedaleko. W ogromnym gnieździe na wysokim słupie. Wiem, wiem, to trochę dziwne, ale on już taki jest. Lubi wszystko widzieć i chce, żeby wszyscy inni też go widzieli. Nie to co ja. Ja wolę schować się pomiędzy gałęziami, wyszukać gładką korę i wykuć w niej swoją dziuplę. Jesteśmy trochę inni z Bocianem, ale może właśnie dlatego tak bardzo się przyjaźnimy. Bo powiem wam, że nie zamieniłbym go na żadnego innego przyjaciela. To z nim spędziłem całą wiosnę, lataliśmy sobie a to tu, a to tam, pokazywał mi jak się stoi na tych cienkich nogach, a ja uczyłem go stukać dziobem w drzewa. Nie było mu łatwo z tym jego długim czerwonym dziobem, ale starał się najlepiej jak mógł. Zapraszałem go czasem do mojej dziupli w środku lasu, kiedy chcieliśmy trochę odpocząć, a gdy byliśmy pełni energii, frunęliśmy do jego gniazda na tym wysokim słupie, żeby patrzeć na ludzi we wsi. Przedziwni ci ludzie, wcale się nie dziwię, że Bocian ich uwielbia. A ja uwielbiam mojego przyjaciela Bociana. Dziś jednak miał być jeden z tych leniwych dni w lesie. W niedzielę ludzie

nie pracują, więc my postanowiliśmy trochę się w nich zabawić i też sobie poodpoczywać. Siedziałem sobie na gałęzi obok mojej dziupli i czekałem na Bociana. Miałem w głowie już cały plan na dzisiejszy dzień. Trochę pogadamy, potem Bocian zaklekota, a ja mu będę wtórował stukaniem o korę, posiedzimy obok mojej dziupli i posłuchamy odgłosów innych ptaków, pogramy gałęziami i liśćmi, a może nawet podlecimy do samych koron drzew. Mijały minuty, a Bociana nigdzie nie było widać. Pomyślałem, że pewnie znowu się zagapił na odpoczywających na swoich działkach ludzi. Może i dobrze, bo będzie miał nowe historie do opowiedzenia. Ale mijały już nie tylko minuty, ale całe kwadranse, a mojego przyjaciela dalej nie było. Zacząłem chodzić wzdłuż gałęzi, żeby czas mi szybciej płynął, ale było jeszcze gorzej. Postanowiłem podfrunąć na skraj lasu i zobaczyć czy przypadkiem we wsi nie dzieje się coś ciekawego, co mogło go zatrzymać. Była to jednak jedna z tych leniwych sierpniowych niedziel, kiedy ludzie odpoczywali po żniwach i jedyne, co było słychać, to dźwięk sztućców podczas obiadu i kościelne dzwony. Zacząłem się denerwować. Bocian czasem się spóźniał, ale nigdy kilka godzin. Lubił też bawić się w chowanego, lecz tym razem miałem złe przeczucia, że nie jest to tylko zabawa. W głowie kłębiły mi się najczarniejsze myśli. Podleciałem w okolice wysokiego słupa, na którym miał gniazdo, ale moim oczom ukazała się jedynie pustka. Ani śladu Bociana, mojego

najlepszego przyjaciela. Między gałązkami, z których uwite było gniazdo, zobaczyłem jedynie długie białe pióro. Tego dnia obleciałem całą wieś jeszcze z kilka razy, ale to wszystko na nic. Nigdzie go nie odnalazłem. Byłem tak zmęczony, że nie miałem nawet siły polecieć do mojej dziupli. Położyłem się w gnieździe na wysokim słupie, w ostatnim miejscu, gdzie najprawdopodobniej ostatnio widziano Bociana. I zasnąłem.

Śniło mi się, że siedzieliśmy z moim przyjacielem w koronach drzew i słuchaliśmy odgłosów lasu. Tak jakby ta niedziela nigdy się nie wydarzyła. Ale niestety się wydarzyła, bo gdy się obudziłem, byłem całkiem sam, a w skrzydłach ścisnąłem długie białe pióro. Jedyną rzecz jaka mi po nim pozostała.

Od tej pory wszystkie dni wyglądały już zupełnie inaczej. Nie przesiadywałem w gnieździe na wysokim słupie, nie przyglądałem się ludziom we wsi, nie podlatywałem do koron drzew, żeby słuchać śpiewu innych ptaków, nawet nie wyszukiwałem gładkiej kory do wykuwania. Jedyne, co chciałem robić, to leżeć skulony w mojej dziupli i patrzeć na długie, białe pióro.

Ale pewnego dnia i tego miałem już dość. Wyleciałem co sił w skrzydłach w las i zacząłem stukać dziobem na oślep we wszystkie drzewa, jakie stanęły na mojej drodze. Nie patrzyłem, czy ktoś miał tam gniazdo, czy dziuplę, nie zwracałem uwagi czy kora jest gładka, czy nie,

nie przejmowałem się bólem dzioba. Stukałem i stukałem, aż opadłem z sił i straciłem przytomność. Znowu mi się śniło, że siedzieliśmy z moim przyjacielem w koronach drzew i słuchaliśmy odgłosów lasu. Nie chciałem się budzić z tego snu.

Wtedy poczułem delikatne klucie na moich skrzydłach. Nie wiedziałem, czy to dzieje się naprawdę, czy tylko w moim śnie. Klucie się nasilało, czułem jakby ktoś wbijał gałęzie w moje pióra, albo może... dziobał? Otwarłem oczy i zobaczyłem nad sobą małą brązową główkę z krótkim, czarnym dzióbkiem. Już miałem się zrywać i odgrażać, ale ten czarny dzióbek otworzył się w uśmiechu, a małe, ciemnobrązowe oczka pojaśniały. Zrobiło mi się dziwnie błogo.

- Nie znam tego lasu, a ty się tak tu wylegujesz, więc pewnie jesteś stąd. Czy mógłbyś mi pokazać jakieś bezpieczne miejsca do uwicia małego gniazdka? – odezwał się nieznajomy ptaszek. Nie mogłem odmówić nawet gdybym chciał. Szybko się otrzepałem i zaproponowałem swoją pomoc w szukaniu nowego lokum. Nieznajomy okazał się nieznajomą o imieniu Jemiołuszka. Przyleciała z dalekiej północy, żeby spędzić zimę w naszym lesie. Była bardzo gadatliwa. Opowiadała jak wygląda lato w lasach iglastych dzikiej tajgi i tundry oraz dlaczego nie może spędzać tam zimy. A ja myślałem, że tylko w naszym lesie jest zimno. Tymczasem dla Jemiołuszki było tu bardzo ciepło. Chciałem być dobrym gospodarzem, więc pokazałem jej wszystko – korony drzew, gładkie

kory i dziuple, widok na wieś, a nawet moje ulubione gałęzie. Wszystko jej się bardzo podobało, była bardzo ciekawa i niczego się nie bała. Zaczęliśmy wspólnie przesiadywać w wyższych partiach drzew, uczyłem ją wykuwania dziupli, zabierałem do wsi, żeby przyglądać się ludziom, a ona pokazywała mi jak wić małe ukryte gniazdko, a w słoneczne dni delikatnie świergotała, ucząc mnie swojego śpiewu.

I tak minęła nam prawie cała zima, która w tym roku zdała mi się jakoś mniej sroga. Gdy śnieg zaczynał już powoli topnieć był to znak dla Jemiołuszki, że musi już wracać do swojego północnego lasu. Obiecywała, że za rok znów do mnie przyleci, tym razem z całym stadem i tak spędzimy wspólnie zimę. Już nie mogłem się doczekać!

Ostatniego dnia sięgnęła dzióbkiem po jedno ze swoich skrzydeł, wyrwała z niego jedno jasnobrązowe piórko i je przede mną położyła.

- To dla ciebie przyjacielu, żebyś o mnie nie zapomniał – powiedziała cichutko, dziobnęła mnie w policzek i pofrunęła na północ.

Siedziałem tak wpatrzony w niebo, śledząc jej odlatujący kształt, aż całkiem zniknął mi z pola widzenia.

Tej nocy spało mi się bardzo dobrze. Wiedziałem bowiem, że przyjdzie czas, kiedy znowu zobaczę dwójkę swoich najlepszych przyjaciół. A dwa pióra, które ścisnąłem w skrzydle, tylko mnie w tym utwierdzały.





O hubie  
i strachu





„A potem wyrosła na niej huba, bo była niegrzeczna i nie chciała ładnie chodzić spać jak ułożona dziewczynka” – taki słowami kończyły się wszystkie bajki na dobranoc, jakie opowiadali mi rodzice. Jak się domyślacie, chodziłam spać najwcześniej, jak mogłam, żeby na mojej korze nie wyrósł żaden grzyb, żadna huba. Byłam bardzo dobrym i grzecznym drzewem. Pozwalałam ptakom siadać na moich gałęziach, w upalne dni dawałam cień ludziom i zwierzętom, delikatnie poruszałam konarami na wietrze, z radością witałam pierwsze zielone listki i tak samo ładnie żegnałam się z tymi, które opadały na jesień. I oczywiście chodziłam grzecznie spać. Starsze drzewa mówiły, że huby atakują i rozkładają nas od środka, a nawet mogą sprawić, że uschniemy lub zgnijemy. Nie wiem, ile było prawdy w tych wszystkich bajkach na dobranoc, bo nigdy w życiu żadnej huby na oczy nie widziałam, ale podobno jedna z kuzynek mojej mamy kiedyś ją miała i skończyło się to bardzo źle. Została ścięta. Dlatego ja za nic w świecie nie chciałam, żeby huba mnie dopadła i dbałam o swoją korę i gałęzie każdego dnia. I nie tylko ja. Wszystkie moje koleżanki bardzo bały się huby. Nie to, co chłopcy. Oni niczego się nie bali i szaleli na wietrze, ile mieli sił w gałęziach, rzucali w siebie patykami, bili się konarami, a nawet późno chodzili spać, żeby oglądać gwiazdy i żadna huba nigdy się ich nie uczepiła. Może te huby atakowały tylko dziewczynki? Nie wiem, ale na to by wyglądało, bo chłopców nigdy

hubami nie straszono. Szkoda, bo ja też czasem miałam ochotę pooglądać gwiazdy. Podobno nad nami świeciły najpiękniej.

Dzisiejszej nocy znowu słucham bajki na dobranoc, która kończyła się wyrośnięciem huby. Układałam już swoje gałązki do snu, kiedy zerwał się wielki i porywisty wiatr. Szarpał konarami wszystkich drzew i wyginał je w różne strony, zrywał z nas liście i haratał gałęziami. Ledwo utrzymywałam się w korzeniach. Tylko nie to, pomyślałam. Nie dość, że jest już późno, a ja nadal nie śpię, to jeszcze zniszczę sobie korę i wyrośnie mi na niej huba. Wiatr smagał nas przez prawie pół nocy, a ja cała się trzęsłam. Sama już nie wiem, czy ze strachu, czy pod wpływem podmuchów powietrza, ale na szczęście w końcu wszystko ucichło. Delikatnie uniosłam głowę do góry i moim oczom ukazał się najpiękniejszy widok na świecie. Gwiazdy. Miliony złoto migających gwiazd. Nigdy wcześniej nie widziałam nic równie pięknego. W momencie zapomniałam o hubie i bolących gałęziach, tylko cały czas wpatrywałam się w te małe punkciki na niebie. Chłopcy byli jednak szczęściarzami, że mogli je tak często oglądać.

Moje szczęście nie trwało jednak długo. Nad ranem obudziłam się z wielkim bólem na ciele. Okazało się, że podczas nocnej wichury uszkodziłam sobie korę. Ogarnęła mnie panika. Nie dość, że bardzo mnie bolało, to dodatkowo byłam narażona na pojawienie się huby. Dlaczego ja, płakałam. Przecież przez całe życie byłam taka grzeczna,

zawsze na siebie uważałam, a tu musiało mnie spotkać coś takiego. Dlaczego nie mogłam być chłopcem, zawodziłam. Niestety moje jęki na nic się zdały. Zauważyłam, że z mojej rany na korze zaczyna wydobywać się dziwna substancja. Już wiedziałam, że mam hubę. Z dnia na dzień coraz więcej płynu wylewało się na moją korę. Miał bardzo intensywny zapach, dziwną barwę i jeszcze dziwniejszą konsystencję. Byłam załamana. Z czasem huba zmieniała swoją postać, aż w końcu stała się dużo twardsza. Wyglądałam z nią okropnie. Ale najgorsze miało być to, co dopiero nastąpi. Huba rozłoży mnie od środka, aż w końcu się ususzę lub zgniję i trzeba mnie będzie ściąć. Tak, jak tę kuzynkę mamy. Rozpaczałam i każdego dnia zdawało mi się, że już od dziś zacznę się gorzej czuć. Jednak mijały dni i nic się nie działo. Huba spokojnie siedziała na mojej korze, a ja wcale nie czułam się źle. Tylko chłopcy mi dokuczali, krzycząc, że mam hubę i śmierdzę.

I wtedy stało się coś, co na zawsze odmieniło moje życie. Zauważyłam, że do mojej kory zbliża się grupa ludzi. „Widzicie? O tutaj! Zapiszcie sobie w notatkach. Żywica odgrywa bardzo ważną rolę i służy do zabezpieczania ran drzewa. Powąchajcie, bardzo ładnie pachnie. Tak, tak, my też możemy używać żywicy do produkowania lekarstw. To bardzo przydatna substancja. Dobrze, idziemy dalej”. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Czy oni powiedzieli, że to coś zabezpiecza rany drzewa? Chroni mnie? To coś, co się ze mnie wylało, co na mnie

urośło, to jest jakaś żywica? I do tego według ludzi pięknie pachnie? A na dodatek używają jej w swoim świecie, żeby leczyć ludzi? Łzy napłynęły mi oczu. Jestem zdrowa! Ta żywica mnie uleczą, krzyczałam z radości. Byłam taka szczęśliwa. Już chciałam powiedzieć wszystkim, że to nie huba, ale coś cudownego, co leczy nie tylko drzewa, ale i ludzi, lecz po chwili spochmurniałam. Czy to znaczy, że przez całe swoje młode życie niepotrzebnie tak się bałam? Że mogłam szaleć na wietrze, rzucać się patykami, a przede wszystkim nie chodzić wcześniej spać i podziwiać rozgwieżdżone niebo nad sobą? Tak samo jak chłopcy? Nie mogłam pojąć dlaczego nikt mi tego wcześniej nie powiedział, tylko straszył jakąś hubą. I co najgorsze, nie tylko mnie, ale wszystkie moje koleżanki.

Tej nocy postanowiłam, że już nigdy nie będę się bała robić tego, na co mam ochotę. Spokojnie poczekałam aż wszyscy dookoła zasną i razem z koleżankami wyciągnęłam konary ku niebu, aby nimi potaćzyć na wietrze w świetle gwiazd. Była to chyba najpiękniejsza noc w roku. Nigdy nie byliśmy tak szczęśliwe, wolne i silne. I niczego się nie bałyśmy.



O żurawiu  
i niedawaniu  
rady





Było ciepłe kwietniowe popołudnie. Słońce smagało swoimi promieniami pobliskie wrzosowiska, a delikatny wiatr unosił wysokie trawy. Wszędzie było zielono i bardzo cicho.

Gryyy! Gryyyyyy!!! Ciszę przerwał przedziwny dźwięk, który rozniósł się po całym wrzosowisku. Jego echo można było usłyszeć nawet kilka kilometrów dalej.

Gry! Gry! Gryyy! Gryyy! Gryyyyy!!! Odgłosy stawały się coraz częstsze i silniejsze, aż w końcu na całym wrzosowisku zrobiło się bardzo głośno. Zleciało się dużo ptaków o długich nogach i szerokich, rozłożystych skrzydłach. To żurawie. Wydawały z siebie głośne dźwięki i podskakiwały jak podczas jakiegoś rytualnego tańca. Gry! Gry!! Gryyyyy!!! W ten sposób oznajmiały, że oto urodził się nowy członek ich stada. Młody Żuraw.

Młody Żuraw rósł i szybko się uczył. Potrafił już wydobywać z siebie klangor, czyli charakterystyczny odgłos, przypominający granie na trąbce. Umiał wzbijać się wysoko i majestatycznie fruwać ponad łąkami, wiedział też, jak wykonywać taniec żurawi z rozpostartymi płasko skrzydłami. Często wypuszczał się sam na długie i wysokie loty. Samotnie. Bo żaden inny żuraw nie był w stanie mu dorównać. Wszystkie inne ptaki widziały w nim kogoś wyjątkowego i wiązały z nim ogromne nadzieje. Będzie wielkim liderem, mówili. Z nim wszyscy będziemy wielcy. I on o tym wiedział. Wiedział, że będzie wielki.

Zbliżał się czas odlotu ptaków na południe, żeby przezimować. Wszystkie żurawie przygotowywały się do długiego lotu, który miał poprowadzić Młody Żuraw, by wszyscy na czas dolecieli do ciepłych krajów. Ale Żuraw miał zupełnie inne plany. Nocami marzył, że On, jedyny z żurawi, który jako pierwszy dotrze do ciepłych krajów, polecą sam. To marzenie towarzyszyło mu już od najmłodszy lat, jak tylko zobaczył, że jest dużo szybszy i odważniejszy od innych. I to się miało stać już niedługo. Jego sukces był na wyciągnięcie skrzydła. W dzień odlotu, kiedy inne żurawie układały się w klucz, by razem wylecieć na południe, Młody Żuraw nie stawiał się do odlotu. Nie chciał wylatywać pierwszy. Chciał pokazać wszystkim, że nawet, gdy wystartuje w pojedynkę i z opóźnieniem, to uda mu się być pierwszym u celu. Żurawie nie mogły czekać. Stadnie ułożyły się w klucz w kształcie litery V i uniosły się w powietrze. Młody Żuraw odczekał chwilę i następnie sam podniósł się do lotu. Jego marzenie zaczynało się właśnie teraz. Majestatycznie i płynnie poruszał skrzydłami, szybował pomiędzy chmurami, nie spał ani nie robił przerw, żeby odpocząć. Droga była daleka. Nawet dłuższa niż sobie wyobrażał. Powoli zaczynało brakować mu sił, ale się nie poddawał. Wiedział, że jeszcze trochę i dotrze do upragnionego celu. Osiągnięcie niebываły sukces. Jednak do ciepłych krajów było jeszcze daleko. Skrzydła odmawiały mu posłuszeństwa. Nie były już w stanie tak płynnie i majestatycznie

poruszać się między chmurami. Leciał coraz wolniej i niżej. Kiedy zdawało mu się, że już dalej nie polecą i bezwładnie opadnie na ziemię, poczuł nagle powiew silnego wiatru, który zdawał się jakby unosić go w powietrzu. Co to takiego, pomyślał. Nigdy wcześniej nie czuł niczego podobnego. Rozejrzył się dookoła i nagle zobaczył inne żurawie, które zaczęły frunąć wraz z nim ułożone w charakterystyczny kształt litery V. Stado prowadził jeden z doświadczonych żurawi, ale po chwili zastąpił go inny. Nie minęło kilka minut i znowu nastąpiła wymiana. I tak w kółko. Młody Żuraw nie wiedział, co się dzieje. Jak to możliwe, że nagle odzyskałem siły? Czy to może ten magiczny wiatr mnie tak unosi?

Ani się obejrzał, a całe stado już lądowało i kończyło swoją powietrzną wędrówkę. Dotarli do celu. Wszyscy osiągnęli sukces. Wszyscy tak, ale nie ja, pomyślał Młody Żuraw i zasmucił się. Wtedy podszedł do niego jeden ze starszych ptaków, objął swoim szerokim rozłożystym skrzydłem i cicho wyszeptał: Widzisz mój Młody Żurawiu, dzięki ułożeniu stada w klucz w kształcie litery V, w którym stado prowadzi jeden z nas, wszyscy zyskujemy nieco dodatkowego ciągu powietrza, na którym możemy się unosić. To dlatego tak nagle odzyskałeś siły. To nie żadna magia, to współpraca. Ale doskonale wiemy, jak męcząca jest pozycja przewodnika na czele stada i dlatego tak często się zmieniamy. Każdy z nas jest czasem pierwszy, a czasem ostatni. Takie jest prawo



klucza, takie jest prawo życia w stadzie, takie jest prawo sukcesu. Młody Żuraw zamyślił się przez chwilę. Wszystko to, co przeżył podczas lotu zdawało mu się takie niepojęte, ale to, co powiedział doświadczony ptak było jeszcze trudniejsze do zrozumienia. Bo jak można być ostatnim, a jednak pierwszym? Jak można wygrać, skoro wszyscy dolecieli w tym samym czasie? Jak można być liderem, skoro co chwilę trzeba się zmieniać? Jak to możliwe, że sam nie dałem rady... ale w stadzie już tak?

Może ten doświadczony ptak miał rację, pomyślał. Może to właśnie jest ten klucz do sukcesu?





O gąsienicy  
i czekaniu



Kwietniowe słońce świeciło mocno. Na liściu kapusty siedziała mała gąsienica Hania i obserwowała zwinną ważkę, która latała nad oczkiem wodnym.

Widok był imponujący – ważka przefrunęła nad kwiatem nenufaru, zawisała w powietrzu tuż nad taflą wody, w której przejrzała się jak w lustrze poprawiając górne prawe skrzydełko. Potem poleciała aż na wysokość jabłonki, robiąc w powietrzu imponujące salto i z szybkością godną jastrzębia sfrunęła na dół, bezbłędnie pokonując labirynt z pałki wodnej. Jej skrzydła lśniły przy tym w słońcu jak witraże w kościele na górcie.

Jest piękna, po prostu piękna – pomyślała Hania i niezgrabnie zsunęła się z jednego liścia kapusty na drugi. „Jakby cudownie było być taką ważką. Latać tak wysoko i być taką zwinną”.

To było największe marzenie Hani. Czas od śniadania do obiadu spędzała przesiadując na liściu sałaty i czekając, aż przyleci ważka. Czas od obiadu do kolacji poświęcała na rozmyślania, jak cudowne byłoby być taką ważką.

Pewnego dnia Hania przypęzła do oczka wodnego, żeby z bliska przyjrzeć się ważce. Zauważyła ją wesoła kijanka Zośka.

– Cześć, co tutaj robisz? – zawołała Zośka do Hani.

– Marzę – odpowiedziała zamyślona gąsienica w ogóle nie spoglądając na kijankę.

– Brzmi poważnie. A możesz mi powiedzieć, o czym marzysz?

– Właściwie to zastanawiam się – odpowiedziała gąsienica – dlaczego to wszystko jest takie niesprawiedliwe i jedne zwierzęta są takie piękne, zwinne i potrafią latać. A inne są takie... no... niezgrabne... jak ja.

– Daj spokój. Jeszcze tydzień temu przejmowałam się, że nie mam nóg. A teraz patrz: wyrosły mi dwie tylnie. A powiem Ci w tajemnicy, że mama mi mówiła, że jak będę duża, to będę prawdziwą żabą jak ona i będę mogła skakać wysoko. Tylko trzeba poczekać. A kto wie – może Ty w przyszłości będziesz piękną ważką?

Hania uśmiechnęła się uprzejmie, ale nie dowierzała Zośce. Wróciła na swój liść kapusty i smutna położyła się spać.

Następnego dnia w ogródku było straszne zamieszanie wśród gąsienic. Wszystkie przepychały się i zastanawiały, na którym liściu albo gałązce zawisnąć.

– Wścibska stonka ziemniaczana dopytywała o co chodzi i co się dzieje.

– To przeparzanie... przeporzewanie... przepoczwarzanie – odpowiadały niepewnie gąsienice.

Każda z nich miała zawisnąć na listku albo gałązce, owinać się w kokon i czekać. A oczekiwanie było najtrudniejsze. Zwłaszcza jak nie wiadomo na co się czeka i ile to potrwa. Hania znalazła śliczną gałązkę dzikiej róży i zawisła owijając się kokonem jakby ciepłą pierzynką.

Przez dwa tygodnie cały ogród z napięciem obserwował dyndające kokony. Pewnego ciepłego poranka ten na dzikiej róży zadrżał, zaczął pękać i wysunął się z niego jakby rąbek aksamitu. Potem wychylił

się czyjś grzbiet i powolutku to coś, co wychodziło z kokonu rozprostowało skrzydła. Ostrożnie uniosło się w górę i łagodnie wylądowało na brzegu oczka wodnego.

– Ale imponujące skrzydła! – powiedziała z zachwytem kijanka Zośka.

– Gdzie? Ważka już przyleciała? – odpowiedziała właścicielka zachwycających skrzydeł.

– To Ty Haniu? – zapytała Zośka – posiadaczka już nie dwóch, a czterech łap i pięknego ogona.

Hania spojrzała na swoje odbicie w tafli wody. Nie mogła uwierzyć miała bordowo-czerwone skrzydła z tęczowymi plamkami.

– Jakie piękne! – Hania otworzyła oczy ze zdziwienia.

– No widzisz, wystarczyło poczekać – odpowiedziała dumna z siebie Zośka – Podobają Ci się tak bardzo jak skrzydła ważki?

– Podobają mi się dużo bardziej. I są takie... moje.





O dębie  
i przemijaniu





Nad polaną zachodziło zmęczone jesienne słońce. Leniwe mgły snuły się nad ziemią opadając na jesienne liście i jakby zwiastując zimowy śnieg. Na końcu polany między jesionem a Dużym dębem stał Mały dąb. W napięciu starał się dosięgnąć gołą gałęzią suchych liści, którymi usłane były jego korzenie, a drugą wyprostowaną w górę balansował tak, żeby ostatniemu listkowi nie pozwolić opaść.

Nagle zawiął delikatny wietrzyk a listek kołysząc się w powietrzu powoli opadł na ściółkę. Mały dąb wybuchnął płaczem.

– To niemożliwe! Nie zgadzam się! Nie, nie, nie, nie, nie, nie! Jeszcze nie...

Płacz usłyszała Ruda wiewiórka mieszkająca w dziupli jesionu. Wstawiła swoją główkę poruszyła z niepokojem pędzelkami na uszach i w dwóch podskokach znalazła się pod Małym dębem.

– Czy coś się stało? – zapytała z szeroko otwartymi czarnymi oczami.

– Miałem tyle liści na gałęziach, tylu przyjaciół, którzy towarzyszyli mi przez całą wiosnę, lato i jesień. Śmialiśmy się razem i płakaliśmy, a teraz popatrz wszystkie leżą na trawie takie suche i pomarszczone... Nie wiem, co zrobić?!

Ruda spuściła smutne wąsy, ale już po chwili wpadł jej do głowy świetny pomysł.

– Nie martw się, pobiegnę do leśnych pszczół, wezmę od nich trochę miodu i poprzyklejemy liście do Twoich gałęzi.

Przybiegła za jakiś czas i oznajmiła, że pszczoły szykowały się już do zimy, zrobiły zapasy miodu i nie chcą oddać ani trochę. Przyniosła za to parę kropli żywicy z buka i szybko zabrała się do roboty. Przykleiła siedem listków z czego trzy odpadły, a na resztę nie starczyło już żywicy. Wiewiórka i dąb spojrzeli na cztery pomarszczone i ledwo trzymające się gałęzi listki i kiwnęli głowami, żeby samych siebie przekonać, że właściwie sytuacja nie jest beznadziejna.

– Nie jest źle – powiedziała Ruda przekrzywiając głowę, jakby z nadzieją, że pod innym kątem cała sprawa będzie wyglądać lepiej.

– No tak – potwierdził bez przekonania Mały, ale po chwili zrezygnowany dodał – tylko są takie jakieś pomarszczone, suche i małowózne...

Wiewiórka starając się nie tracić humoru zaproponowała, że pójdzie do sosny poprosić ją o trochę zielonego barwnika z igiełek. Ale widziała po minie dębu, że chyba nie o to chodzi.

– Posłuchaj, może poprosimy Duży dąb o radę. On już tyle przeżył. Na pewno będzie wiedział, co zrobić, żeby było tak jak dawniej.

Duży dąb popatrzył na Małego ze zrozumieniem.

– Jest Ci smutno, że wszystkie liście opadły?

Mały dąb opuścił z żalem konar.

– Pamiętasz jak była wiosna i młodziutkie listki nieśmiało wyrastały z Twoich brązowych gałęzi? A potem było lato i wszystkie liście szeleściły wesoło rozmawiając z Tobą na różne tematy. A pamiętasz jak na początku jesieni dumnie prezentowały się w różnych kolorach?



Opowiadały tymi kolorami całą historię swojego życia, wszystkie przygody, wasze rozmowy. A teraz uschły i opadły...

Małemu dębowi żywiczne łzy zaczęły spływać po szorstkiej korze. A wiewiórka przysłuchująca się opowieści Dużego dębu zaczęła ocierać je końcem rudej kity.

– Ale to nie koniec historii. – kontynuował Duży – Popatrz na swoje korzenie i pod łapki wiewiórki. Suche liście przykrywają teraz kołderką małe roślinki i zwierzęta. Usypiają cały las do snu. To jest teraz ich zadanie.

Słowa Dużego dębu ukoiliły trochę żal Małego. A niedługo cały las pogrążył się we śnie zimowym. Spał Mały dąb i wiewiórka przykryta swoją kitką. Tylko wśród gołych konarów drzew przemykał czasami srebrny jeleń.

Nastała wiosna. Mały dąb otworzył zaspane oczy i spojrzał w dół. Spod ściółki utworzonej z jego liści, które opadły jesienią, wyrastał malutki, zielony pęd Nowiutkiego dębu.





O pająku  
i zwałpieniu



Poranek na polanie był chłodny. Trawa migotała kropelkami rosy. Na tle przykrytego jeszcze kołderką z mgły zaspanego słońca było widać tańczące w powietrzu srebrne nitki. Wyglądały trochę jak te pięć siwych włosów, które pojawiły się ostatnio na głowie taty. Na jednej z nitek powiewających na wietrze, siedział Antek – mały pająk. Z daleka wyglądał beztrosko jak latawiec unoszący się na wietrze. Za to z bliska można było zobaczyć, że Antek ciężko pracuje. Uprzedł już całą długą nić, wyrzucił ją daleko w przestrzeń, wdrapał się niczym wytrawny Taternik na jej koniec i szykował się do wypuszczenia następnej, kiedy usłyszał szelest. Spod utkanej z liści kołderki wygrzebał się jeź Filip.

– O matko, która to godzina? O nie, znowu zasnę! – krzyczał Filip – A obiecałem, że przyniosę mamie to piękne czerwone jabłko z sadu za płotem. Znowu powie, że jej nie słuchałem. A ja przecież słuchałem, tylko lubię spać.

Jeź zerknął w górę i zobaczył Antka stojącego na czubku nitki pajęczej. – Chwyć się nitki, podrzucę Cię do sadu. Sam i tak chcę dotrzeć do Ameryki Południowej, a sad chyba jest po drodze.

– Nie, dzięki, nitka mnie raczej nie utrzyma. Chyba zjadłem wczoraj na kolację o dwa pędraki za dużo. A poza tym patrz ile zajęło Ci dotarcie od tamtego drzewa tutaj. Do sadu chyba dotrzemy na wieczór... – i oddalając się dodał – a na Amerykę to bym chyba nie liczył, ona jest za tysiącem takich sadów.

Antek spojrział za siebie – na drogę, którą pokonał, potem na płot sadu, do którego zmierzał jeź. Pomyślał chwilę, i zrobił się cały czerwony ze złości. Jak mógł nigdy wcześniej nie policzyć tej drogi? Ale zaraz... przecież to nie był jego wymysł, to było marzenie całej rodziny. Już od małego pajęczka tata opowiadał mu, że celem ich rodziny jest dotarcie do Ameryki Południowej, a mama snuła magiczne historie o śmiesznym kuzynie Wałęsaku Brazylijskim, który wałęsa się w rytm samby i trochę strasznej ciotce – Czarnej Wdowie, która uwielbia straszyć turystów z Europy. To znaczy, że co? Oszukali go? Chcieli z niego zadrwić?

Antek ze złością zerwał nitkę, nad którą tak ciężko pracował, spadł na jesienne liście i ruszył w kierunku rodzinnej pajęczyny między korzeniami dębu. Wchodząc na nią złośliwie wyswobodził muchę, którą tata upolował na obiad.

– Hola, hola! – krzyknęła za nim mama – Co to ma znaczyć? Co to za nerwy? Tata się tak namęczył łapiąc muchę. Mam nadzieję, że masz pomysł, co będziemy jeść, drugiej muchy już chyba nie uda się złapać. Antek burknął tylko „I co z tego?” i zaszył się w kącie konara. Zapadła cisza.

Tata szepnął tylko do mamy:

– To chyba coś poważnego. Pójdę z nim porozmawiać.

Antek siedział zwinięty w kącie i ze złością spoglądał na tatę, który zbliżał się do niego powoli.

– Wyglądasz jak ten... no... ten taki pająk z tego dowcipu, co wpadł do sosu i no wiesz... a nie to odwrotnie... chyba spaliłem... – próbował żartować tata, ale akurat wyleciał mu z głowy kawał, który chciał opowiedzieć. Antek nadął ze złością szczękoczułki.

– Widzę, że jesteś nie w sosie – próbował jeszcze ratować sytuację tata.

– A Ty jakbyś się czuł, gdyby cała rodzina Cię oszukiwała. – warknął Antek – Zawsze myślałem, że podróżujemy do Ameryki Południowej. Mówiliście, że wspólnymi siłami nam się uda. A ja myślałem, że jak będę ciężko pracować...

– Chyba wiem w czym, rzecz. – powiedział poważnie Tata – Myślę, że nie zobaczymy Ameryki Południowej. Ale jeżeli będziemy pracować, to może zobaczą je Twoje praprapraprawnuki.

– Co mnie one obchodzą? Przecież nigdy ich nawet nie poznam. Dlaczego mam coś dla nich robić? – odpowiedział ze złością Antek.

– Opowiem Ci historię pewnego pająka. – zaczął Tata - Był w Twoim wieku, ale mieszkał bardzo daleko stąd.

– W Ameryce Południowej?

– Nie, w odległej Rosji. A to prawie tak daleko jak Ameryka Południowa, tylko w drugą stronę. – zaśmiał się Tata – Był bardzo dzielny i pracowitym pająkiem. I miał dokładnie takie samo marzenie jak Ty.

– I co udało mu się? – niecierpliwie dopytywał Antek, czekając na jakąś poradę.

– Nieee, to niemożliwe dla pająka przebyć taką odległość. Ale, wiesz, w pewnym sensie mu się oddało. Jego prapraprapraprapra... wnuczek jest już w połowie drogi z Rosji do Ameryki Południowej. Dzisiaj rano przebył odcinek od tamtego dębu do tej gałęzi, zmierza w kierunku sadu i powoli, ale konsekwentnie zbliża się do Ameryki Południowej.

Antek nie dał po sobie poznać, że wzruszyła go ta historia. Gdy Tata wyszedł z pokoju pajączek, szepnął tylko do siebie „To praprapradziadek to wszystko dla rodziny. I pradziadek też i dziadek i tata... To wszystko dla mnie?”

Następnego poranka było jeszcze chłodniej, a kropelki rosy drżały na źdźbłach trawy Antek siedział na płocie sadu i patrzył na wschodzące słońce, które zdawało się go gonić.

Jeż Filip nerwowo przegrzebywał wszystkie liście pod jabłonką.

– O nieee! Niepotrzebnie zjadłem to wczorajsze jabłko. Teraz nie znajdę już ani jednego. Mama będzie strasznie zła! Powie, że jej nie słucham, a ja słucham tylko bardzo lubię jabłka.

– Jak będę przy tamtej jabłonce, to Ci krzyknę, czy tam są jabłka. – pocieszał go Antek.

– Dobra, tylko żeby mama nie usłyszała. A Ty dalej podróżujesz do Ameryki Południowej? – zapytał wesoło Filip.

– Tak, i popatrz, jestem już o jeden sad bliżej – odpowiedział z dumą Antek.



Publikacja nieprzeznaczona do sprzedaży, dostępna na międzynarodowej licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Na tych samych warunkach 4.0 (CC BY-NC-SA 4.0).

Publikacja powstała w ramach Programu Narodowego Centrum Kultury Bardzo Młoda Kultura 2019-2021 - Małopolska, realizowanego przez Małopolski Instytut Kultury w Krakowie.



projekt graficzny: Miczałowska & Perc

Organizator:

małopolski  
instytut  
kultury

**MIK**

INSTYTUCJA KULTURY  
WOJEWÓDZTWA  
MAŁOPOLSKIEGO

  
MAŁOPOLSKA

Finansowanie

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

  
NARODOWE  
CENTRUM  
KULTURY

  
BARDZO  
MŁODA KULTURA

Dofinansowano ze środków Narodowego  
Centrum Kultury w ramach programu  
Bardzo Młoda Kultura 2019-2021